

KULTURA

Robię swoje

Z NINĄ ANDRYCZ rozmawia Bożena Zagórska

W książce „Poczet aktorów polskich” Lecha Piotrowskiego i Witolda Fille-ra, opublikowanej właśnie przez Wydawnictwo „Phillip Wilson”, jest Pani zdjęcie w roli lady Makbet, a z podpisu pod świetną zresztą fotografią Edwarda Hartwiga wynika, że jest to Pani w roli Marli Stuart. A sztuka Jarosława Iwaszkiewicza, od której zaczęła się Pani sława, nosi tytuł „Lato z Nohant”, a nie „Lato w Nohant”. To pewnie skutki oszczędności wydawnictwa na redaktorach, którzy powinni sprawdzać wszystkie dane.

– Jakby tego było za mało, to podano błędnie datę premiery „Lata w Nohant” jako rok 1935, a był naprawdę koniec roku 1936. A także w sprawie nagród zaoszczędzono mi czterech Srebrnych Masek z plebiscytu czytelników „Expressu Włocznego”. Te Maski były dowodem popularności przy jednoczesnym wysokim poziomie artystycznym. Podejrzewam, że autorzy biogramu w ogóle bardzo mało o mnie wiedzą. Ostatnio zresztą krytycy pisujący o teatrze sprawiają zawód, a czasem niesmak.

Co Pani robi?

– Niczym Wojtek Młynarski dalej robię swoje. Gram obecnie Klarę Zachanassian w „Wizycie starszej pani” Dürenmatta, w reżyserii Zdzisława Wardejna. Sztuka ta cieszy się dużym powodzeniem, jako że bardzo aktualnie brzmią wszystkie zdania dotyczące pieniądza i bezgranicznej ludzkiej chciwości. Do tej samej roli zostałam zaproszona do bardzo pięknego Teatru Polskiego w Poznaniu, gdzie przed laty grałam Lady Milford w „Intrydze i miłości” Schillera.

Jakie ma Pani plany na ten rok dla sceny Teatru Polskiego w Warszawie?

– Nie wiem, co będzie dalej, ponieważ w dniu, kiedy rozmawiamy, Teatr Polski nie ma ani pieniędzy, ani dyrektora artystycznego. Może łaskawy los podrzuci mi jakiś scenariusz telewizyjny.

Lubi Pani pracę w telewizji?

– Bardzo, bo uczę się czegoś innego: oszczędności środków aktorskich, innego rodzaju skupienia, radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Tak nawiasem, to uważam, że spektakle „na żywo” były lepsze, powodowały inny doping aktorów, którzy wiedzieli, że nie można wielokrotnie powtarzać sceny. Na taśmach filmowych czuje się martwo, ale wiadomo, że życie idzie naprzód i inaczej nie będzie.

Na 18 stycznia br., o godz. 17.00, w stołecznym Klubie Księgarza zapowiedziana jest promocja Pani najnowszej książki.

– To już moja siódma książka, tomik wierszy „Rzeka bez nazwy”, poprzednio był zbiór wierszy „Rzeka-Rozłąka”. Sama prowadzę to spotkanie. Książk Jan Twardowski napisał wstęp, co uważam za wielki zaszczyt.

Co jest dla Pani impulsem do napisania wiersza?

– Raczej przeżycie: jakaś intensywna emocja, miłość, gniew, lęk, przeczucie. A potem w trakcie pisania potrzebna jest harmonia między myślą a przeżyciem. W idealnym stopniu opanował to Zbigniew Herbert.

Czy Pani czyta poezję?

– Niemal jak Wojtek Siemion.

Ulubieni autorzy?

– Blok, Achmatowa, Maria Jasnorzewska-Pawlikowska, Herbert, Szymborska.

Pani zdaniem, kultura przeżywa kryzys?

– Tak, i kultura i sztuka są na ostatnich miejscach zainteresowania władzy. W ka-



Fot. Zofia Nasierowska

pitalizmie człowiek się nie liczy, ważne tylko, ile ma pieniędzy. Wyraźnym przykładem jest sytuacja w Teatrze Polskim. Ja tak czy owak jakoś sobie poradzę, ale co mają robić artyści o mniej znanych nazwiskach? Przecież każdy dyrektor teatru ma prawo wszystkich zwolnić i zaczynać od zera.

Czy wobec tego ma sens kształcenie nowych aktorów?

– To bardzo trudna sprawa. Z jednej strony wiadomo, że jak świat światem z każ-

dego rocznika osiąga sukcesy kilku, czasem jeden aktor. Z mojego rocznika zasłynęli Elżbieta Barszczewska, Henryk Borowski, Eugeniusz Fulde. Z drugiej strony w dobrym teatrze ci mniej zdolni też są bardzo potrzebni, podobnie jak w orkiestrze. Na przykład ktoś ma raz uderzyć w bęben. Gdyby rzecz działa się u Karajana, a muzyk uderzył w bęben za późno lub za wcześnie, dyrygent chybaby go zabił. Bęben, co prawda, nie zastąpi pierwszych skrzypiec, ale jest nieodzow-

ny. Jest to kwestia doskonałego zgrania i zagrania całego zespołu.

Widziała Pani w życiu sporo teatrów. Który z nich był, czy jest takim wspólnym zespołem?

– Były, mówię były, bo dawno ich nie oglądałam, Comedie Francaise i MChAT. Nigdy nie zapomnę spektaklu „Mieszczanin szlachcicem” Moliera. Na scenę weszła aktorka grająca pokojówkę i śmiała się ze swojego pana długo, kilka minut. A jak ona się śmiała! To były kaskady, fontanny śmiechu, humoru, techniki. Ja nigdy bym tego nie potrafiła. A z naszych aktorów imponuje mi Andrzej Seweryn za bezbłędne opanowanie obcej sobie mowy.

Dostawała Pani nagrody nie tylko za swoją sztukę, także za elegancję. Czy jest Pani wyznawczynią mody?

– Niezupełnie. Prawda, że śledziłam propozycje wielkich domów mody Diora, Chanel, w sukniach wieczorowych Balmaina. Wybierałam to, co mi pasuje do sylwetki, koloru oczu, włosów, karnacji. Polki jakoś nie umieją dobrze wybrać.

Jak się Pani ubiera na co dzień?

– Z rana sportowo, uwielbiam garsonki Chanel, a kolory czarne i pastelowe – zależnie od nastroju i okoliczności. Ale podobno najlepiej wyglądam w kreacjach balowych.

Jakiego koloru?

– Tylko białe lub czarne.

Czy jest Pani przesądna, jak większość aktorek?

– Trochę. Nie wolno opuścić roli na podłogę, lubię, żeby w Nowy Rok z pierwszą wizytą przyszedł mężczyzna, zwracam uwagę na sny.

Czy pracuje Pani nad następną książką?

– Tak. Będzie to proza, opisująca 1945 i 46 rok widziany nie tylko przeze mnie, lecz także przez grono intelektualistów polskich, z prawdziwymi nazwiskami. **Dziękuję za rozmowę.**